

Laura Bellini

Między winą a dotykiem

Ma odbudować jej pracownię. Najpierw
musi odzyskać jej zaufanie.



Między winą a dotykiem

Ma odbudować jej pracownię. Najpierw musi odzyskać jej zaufanie.

Laura Bellini

ROMANS

SPIS TREŚCI

INTRO	4
Rozdział 1 - Rzeczy, których nie da się wysuszyć	11
Rozdział 2 - Warunki dostępu	27
Rozdział 3 - Ciężar, którego nie było w harmonogramie	50
Rozdział 4 - To, co zostało między nami.....	66
Rozdział 5 - Miejsce tymczasowe	84
Rozdział 6 - Rysa pod farbą	100
Rozdział 7 - Karta numer siedem.....	120
Rozdział 8 - Nie tylko naprawa.....	140
Rozdział 9 - Cena uczciwości	160
Rozdział 10 - Dokument, którego nie powinno być	179
Rozdział 11 - Wszystko, czego nie powiedział.....	197
Rozdział 12 - Bez wersji roboczej.....	214
Rozdział 13 - Własne warunki.....	232
Rozdział 14 - Cudzy podpis	249
Rozdział 15 - To, czego chcę	270
Rozdział 16 - Nie proszę cię, żebyś został	286
Rozdział 17 - Pełna wersja	305
Rozdział 18 - Co zostaje po prawdzie	320
Rozdział 19 - Ostatnia luka	340
Rozdział 20 - Światło przy oknie	357

INTRO

Pierwszy trzask usłyszałam o szóstej czterdzieści trzy, kiedy próbowałam zdecydować, czy cienka złota linia na brzegu filiżanki jest już wystarczająco równa, czy tylko wmówiłam sobie, że jest, bo od jedenastu godzin nie spałam.

Odłożyłam pędzel i spojrzałam w stronę sufitu. W starej fabryce zawsze coś trzeszczało. Rury wzdychały, drewniane belki odpowiadały na zmianę temperatury, a ciężkie okna drżały, kiedy pierwsze tramwaje przejeżdżały ulicą kilkaset metrów dalej. Po pięciu latach prowadzenia pracowni nauczyłam się rozpoznawać większość tych dźwięków. Ten był inny. Krótki, suchy, zdecydowanie zbyt bliski.

Wstałam od stołu.

- Tylko nie dzisiaj - powiedziałam do budynku, jakby stara cegła mogła docenić argument dotyczący terminów.

Na stole przede mną stało dwanaście porcelanowych filiżanek z początku ubiegłego wieku, każda warta więcej niż mój pierwszy samochód. Muzeum czekało na nie od trzech miesięcy. Jeśli skończyłabym konserwację do piątku, dostałabym kolejne zlecenie - większe, dłuższe i wystarczająco dobrze płatne, żebym przestała sprawdzać konto przed każdym zamówieniem materiałów. Po raz pierwszy od dawna mogłam przejść z etapu "moja pracownia jakoś się utrzymuje" do "moja pracownia naprawdę działa".

Dlatego spałam tej nocy może dwie godziny.

Dlatego byłam tam przed siódmą.

I dlatego, kiedy z sufitu spadła pierwsza porcja pyłu, zamiast natychmiast wyjść, przesunęłam porcelanę na środek stołu i przykryłam ją miękką płachtą.

Drugi trzask nie zostawił miejsca na negocjacje.

Nad regałem z pigmentami pojawiła się cienka szczelina. Znałam ją. Tyle że jeszcze wczoraj miała może dwadzieścia centymetrów długości i Jakub Wysocki powiedział mi, że jest powierzchowna.

Pamiętałam również, w jaki sposób to powiedział.

Spokojnie. Pewnie. Patrząc mi prosto w oczy, jak człowiek, który całe życie zarabiał na tym, że inni wierzyli jego ocenie.

"Możesz tu bezpiecznie pracować, Lena."

Sześć słów.

Nie powinnam była ich zapamiętać.

Szczelina ruszyła w bok.

Cofnęłam się.

- O nie.

Tym razem nie ratowałam filiżanek. Zgarnęłam telefon i torbę leżącą obok drzwi, po czym przebiegłam przez pracownię. Byłam już w korytarzu, kiedy za plecami coś huknęło. Powietrze uderzyło mnie pyłem. Kaszlnęłam, odwracając głowę, a potem usłyszałam dźwięk znacznie gorszy od pękającego tynku.

Wodę.

Najpierw pojedyncze uderzenia kropli o metalowy stół. Po chwili szum.

Wróciłam dwa kroki, zanim rozsądek dogonił ciało.

Przez wyrwę w suficie lała się woda.

Na moje stoły.

Na półki.

Na drewniane skrzynie z dokumentacją.

Na przykryte porcelanowe filiżanki.

- Cholera.

Ruszyłam do głównego zaworu przy zapleczu, ale usłyszałam kolejny trzask i zatrzymałam się. Nad przejściem osypał się tynk. W tej samej chwili telefon zawibrował mi w dłoni.

Nie zdążyłam spojrzeć na ekran.

- Lena!

Głos dobiegł z klatki schodowej.

Znałam go równie dobrze jak szczelinę w suficie.

Jakub pojawił się w drzwiach kilka sekund później, w ciemnej kurtce narzuconej na koszulę, z włosami mokrymi od porannego deszczu. Musiał przyjechać prosto z domu. Nie wiedziałam, dlaczego ta informacja w ogóle pojawiła się w mojej głowie. Byłam wściekła, moja pracownia właśnie zamieniała się w basen, a jednak zauważyłam, że nie zdążył zapiąć mankietu lewego rękawa.

Zatrzymał się, zobaczywszy wyrwę.

I przez moment nic nie powiedział.

To wystarczyło.

- Powiedziałeś, że jest bezpiecznie.

Spojrzał na mnie.

Ostatni raz widziałam tę minę pół roku wcześniej, kiedy po raz pierwszy pokazałam mu pęknięcie nad oknem. Wtedy podszedł do ściany, dotknął tynku, zrobił zdjęcia, pomiary,

przyniósł urządzenia, których nazw nie zapamiętałam. Potem zaprosił mnie na kawę i przez dwie godziny rozmawialiśmy o wszystkim poza budynkiem.

To był początek mojego błędu.

Nie pocałowaliśmy się. Nawet nie trzymaliśmy za ręce. A jednak przez kilka tygodni zaczęłam wiedzieć, jaką kawę zamawiał, kiedy był zmęczony, dlaczego nie odbierał telefonów od ojca i że, gdy czegoś nie był pewien, pocierał kciukiem krawędź zegarka.

Robił to teraz.

- Wyjdźmy stąd - powiedział.

- Powiedziałaś mi, że mogę pracować.

- Lena.

- Wczoraj. Stałeś dokładnie tutaj i powiedziałeś, że mogę zostać.

- Wiem, co powiedziałem.

To zabolalo bardziej, niż powinno.

Nie podniósł głosu. Jak zwykle. Jakub należał do tych ludzi, którzy w kryzysie stawali się jeszcze spokojniejsi, przez co człowiek zaczynał podejrzewać, że problem istnieje wyłącznie w jego własnej głowie.

Wskazałam na pracownię.

- To jest twoje "bezpiecznie"?

Jego spojrzenie przesunęło się za mnie. Zamarło.

Odwróciłam się.

Woda nadal spływała z sufitu, ale Jakub nie patrzył na nią. Patrzył na ścianę obok zaplecza.

Na stalową podporę zamontowaną tam trzy tygodnie wcześniej przez jego ekipę.

Wczoraj miała przy zacisku czerwoną plombę.

Fotografowałam ją przypadkiem, robiąc zdjęcie nowej półki dla siostry. Jakub wyjaśnił mi wtedy, że plomba pozwala sprawdzić, czy ktoś nie ruszał mocowania podczas prac prowadzonych piętro wyżej.

Teraz jej nie było.

- Co? - zapytałam.

Jakub wszedł do środka.

Złapałam go za rękaw.

- Sam powiedziałaś, żeby tam nie wchodzić.

Spojrzał na moją dłoń, a potem na mnie. Przez ułamek sekundy znalazłam się zbyt blisko. Poczułam chłód deszczu na jego kurtce i znajomy zapach mydła, którego przez ostatnie miesiące bardzo starałam się nie pamiętać.

Wycofałam rękę.

- Nie wchodzi - powtórzyłam.

Tym razem mnie posłuchał.

Wyjął telefon i zrobił kilka zdjęć z progu.

- Gdzie jest plomba? - zapytałam.

Nie odpowiedział od razu.

- Powinna być tutaj.

- Wiem.

Spojrzałam na niego.

- Więc gdzie jest?

Z korytarza dobiegły szybkie kroki. Ktoś z ekipy budowlanej wołał Jakuba, ale on nadal patrzył na podporę.

Po raz pierwszy odkąd go znałam, zobaczyłam w jego twarzy coś, czego nie potrafił ukryć.

Nie zaskoczenie.

Strach.

- Kto miał dostęp do pracowni w nocy? - zapytał.

- Nikt.

- Kto ma klucz?

- Ja. Właściciel budynku. Ty.

Wreszcie spojrzał mi w oczy.

Deszcz stukał o wysokie okna na klatce. Za nami woda niszczyła pięć lat mojego życia, a ja nagle przestałam myśleć o porcelanie, dokumentach i pieniądzach.

Bo Jakub nie zapytał, czy ktoś mógł wejść.

Zapytał, kto miał dostęp.

- Co przede mną ukrywasz? - powiedziałam.

Mięśnie jego szczęki napięły się ledwie zauważalnie.

- Teraz musimy zabezpieczyć budynek.

- To nie jest odpowiedź.

- Wiem.

Znowu to słowo.

Tak samo ciche. Tak samo niewystarczające.

Spojrzałam przez jego ramię na człowieka z ekipy, który właśnie stanął na półpiętrze. Potem na wyrwę w suficie mojej pracowni. Na brakującą plombę. Na Jakuba.

Jeszcze wczoraj chciałam tylko skończyć dwanaście filiżanek i wystać klientowi zdjęcia przed południem.

Teraz wiedziałam dwie rzeczy.

Moja pracownia nie była bezpieczna.

A człowiek, któremu uwierzyłam, wiedział o tym więcej,
niż chciał mi powiedzieć.

Rozdział 1 - Rzeczy, których nie da się wysuszyć

Straż pożarna kazała nam wyjść z budynku siedem minut później. Przez te siedem minut Jakub zdążył trzy razy zadzwonić do swojej ekipy, raz do administratora, odciąć wodę na pionie razem z człowiekiem, którego przedstawił mi kiedyś jako Marka, i pokłócić się z kimś przez telefon w sposób tak spokojny, że dopiero po słowach "jeżeli wejdiesz tam przed rzeczoznawcą, sam zadzwonię do nadzoru budowlanego" zorientowałam się, że to była kłótnia.

Ja stałam na półpiętrze z torbą przyciśniętą do brzucha i patrzyłam, jak woda wypływa spod drzwi mojej pracowni.

Nie była to wielka fala. Kilkumilimetrowa warstwa, która znalazła najniższy punkt podłogi i przesuwiała się powoli w stronę schodów. Racjonalna część mnie wiedziała, że większość wyposażenia stała powyżej poziomu posadzki, a porcelana była odporna na wodę bardziej niż dokumentacja, drewno i papier. Druga część widziała tylko pięć lat pracy zmieniające się w cienką, szarą strużkę.

- Proszę zejść na dół - powtórzył strażak.
- Muszę zabrać skrzynię przy lewym regale. Są tam obiekty muzealne.
- Nie może pani wejść.
- To są zabytki.
- Pani też jest trudna do odtworzenia.

Normalnie pewnie doceniłabym ten argument. Tego ranka nie byłam zdolna do doceniania czegokolwiek.

- Lena - powiedział Jakub.